KEN FOLLETT

UCIEKINIER

1

Śnieg wieńczył szczyty gór okalających dolinę High Glen i zalegał na zalesionych stokach perlistymi łachami, przywodzącymi na myśl klejnoty na podołku zielonej, jedwabnej sukni. Dnem doliny, lawirując pomiędzy oblodzonymi głazami, rwał bystry potok. Porywisty wiatr dmący od Morza Północnego pędził przed sobą tabuny ołowianych chmur, z których w każdej chwili mógł sypnąć grad lub śnieg z deszczem.

Malachi i Esther McAsh — bliźniaki — szli tego ranka do kościoła szlakiem wiodącym zakosami wzdłuż zbocza zamykającego dolinę od wschodu. Malachi, zwany Mackiem, odziany był w pelerynę w szkocką kratę i tweedowe bryczesy, jednak nogi poniżej kolan miał gołe. Był młodzieńcem gorącej krwi i choć bose stopy marzły mu w drewnianych chodakach, nie zważał na ziąb.

Nie była to wprawdzie najkrótsza droga do kościoła, ale dolina High Glen zawsze Macka fascynowała. Strome górskie stoki, ciche tajemnicze lasy i roześmiana woda składały się na krajobraz bliski jego duszy. Obserwował z lubością orły wijące gniazda na graniach. Pospołu z tymi orłami podkradał dziedziczce łososie, od których roiło się w potoku. I pospołu z płową zwierzyną, zastygając w bezruchu i wstrzymując oddech, przywarowywał w leśnej gęstwinie, kiedy nadchodzili gajowi.

Dziedziczka, lady Hallim, była wdową i miała córkę jedynaczkę. Ziemia po drugiej stronie góry należała do sir George'a Jamissona i stanowiła zupełnie inny świat. Pod okiem inżynierów wydrążono tam w górskich zboczach głębokie dziury; dolinę szpeciły hałdy żużla, koła potężnych wozów wyładowanych po brzegi węglem wyżłobiły koleiny w błotnistym trakcie, a strumień był czarny od węglowego pyłu. Tam właśnie, w wiosce Heugh, na którą składał się długi rząd niskich, wzniesionych z kamienia domków pnących się po górskim stoku, mieszkały bliźniaki.

Mack i Esther stanowili męską i żeńską wersję tego samego archetypu. Oboje mieli jasne, przyszarzałe nieco od węglowego pyłu włosy i niesamowite bladozielone oczy. Oboje byli krępej budowy, krzepcy w barkach, o muskularnych rękach i nogach. Oboje cechował upór i skłonność do wdawania się w dysputy.

Skłonność ta należała niemal do rodzinnej tradycji. Ich ojciec był pod każdym względem nonkonformistą, gotowym toczyć boje z rządem, Kościołem i wszelkimi innymi autorytetami. Matka przed zamążpójściem pracowała u lady Hallim i podobnie jak wiele służących utożsamiała się z wyższymi sferami. Pewnej srogiej zimy, kiedy w następstwie przypadkowej eksplozji kopalnia została na miesiąc zamknięta, ojciec zmarł na czarną plwocinę, chorobę, która uśmierciła wielu górników, matka zaś nabawiła się zapalenia płuc i w kilka tygodni potem przeniosła się za mężem na tamten świat. Dysputy jednak nie ustały. Prowadzono je zazwyczaj w sobotnie wieczory w izbie pani Wheighel — zastępującej karczmę, której w wiosce Heugh brakowało.

Parobkowie i zagrodnicy podzielali punkt widzenia matki McAshów. Utrzymywali, że król jest pomazańcem bożym i ludzie winni mu są posłuszeństwo. Górnicy wyznawali nowocześniejsze poglądy. John Locke i inni filozofowie głosili, że władza pochodzić może tylko z woli ludu, i właśnie tę ostatnią teorię wyznawał Mack.

Niewielu górników z Heugh umiało czytać, ale matka bliźniąt posiadła tę sztukę i Mack uprosił ją, by jego też nauczyła. Nie zważając na docinki męża, że wynosi się ponad swój stan, przekazała swoją umiejętność obojgu dzieciom. Na spotkaniach u pani

Wheighel proszono Macka, by czytał na głos „Timesa", „Edinburgh Advertisera" oraz dzienniki polityczne, takie jak radykalny „North Briton". Pomimo że gazety docierały do wioski z wielotygodniowym albo i wielomiesięcznym opóźnieniem, mężczyźni i kobiety w skupieniu wysłuchiwali sprawozdań z długich przemówień w parlamencie, satyrycznych diatryb oraz relacji ze strajków, protestów i rozruchów.

To właśnie po jednym z takich wieczorków u pani Wheighel Mack napisał list.

Żaden z górników nie napisał w życiu listu, toteż konsultowano długo każde jego słowo. Adresatem był Caspar Gordonson, londyński prawnik pisujący do gazet artykuły wykpiwające rząd. List powierzono Daveyowi Patchowi, jednookiemu domokrążcy, który miał go zanieść na pocztę i wysłać. Mack zaczynał już powątpiewać, czy przesyłka w ogóle dotarła do miejsca przeznaczenia, lecz odpowiedź w końcu nadeszła i było to najbardziej ekscytujące wydarzenie w życiu Macka. Kto wie, czy ten list nie odmieni całkowicie mojego losu, myślał. Być może da mu wolność.

Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze pragnął być wolnym. W dzieciństwie zazdrościł Daveyowi Patchowi, który wędrował od wioski do wioski i utrzymywał się z handlu nożami i sznurkiem oraz ze śpiewania ballad. W życiu Daveya małemu Mackowi najwspanialsze wydawało się to, że tamten mógł sobie wstawać o wschodzie słońca i iść spać, kiedy tylko ogarnie go znużenie. Macka, odkąd ukończył siedem lat, matka budziła szarpaniem przed drugą nad ranem i przez następne piętnaście godzin, aż do piątej po południu, harował w pocie czoła na dnie kopalni; kiedy po takim znoju wracał wreszcie do domu, sen morzył go często nad niedojedzoną wieczorną owsianką.

Teraz Mack nie chciał już zostać domokrążcą, ale nadal pragnął odmiany losu. Marzył o wybudowaniu własnego domu w dolinie takiej jak High Glen, na kawałku ziemi, który mógłby nazwać swoim własnym; marzył o pracy podczas dnia i wypoczynku przez wszystkie godziny nocy; o wyprawianiu się w słoneczny dzień na ryby, w miejsce, gdzie łososie nie są własnością dziedziczki, lecz

tego, kto je złowi. A list, który trzymał teraz w dłoni, przynosił nadzieję na urzeczywistnienie tych marzeń.

— Mam wątpliwości, czy powinieneś odczytać go na głos w kościele — odezwała się Esther, gdy schodzili ostrożnie po oblodzonym stoku.

— Niby dlaczego? — spytał Mack, choć sam jeszcze nie miał pewności, czy tak właśnie postąpi.

— Napytasz sobie biedy. Ratchett się wścieknie. Może nawet powtórzyć wszystko sir George'owi, i co wtedy będzie?

Harry Ratchett był nadzorcą, człowiekiem, który w imieniu właściciela zarządzał kopalnią.

Mack zdawał sobie sprawę, że siostra ma rację, i jego serce przepełniał niepokój. Mimo to powiedział:

— Nie ma sensu, żebym zatrzymywał ten list tylko do własnej wiadomości.

— Ale mógłbyś go pokazać Ratchettowi na osobności. Może pozwoliłby ci odejść po cichu, bez niepotrzebnego rozgłosu.

Mack zerknął spod oka na siostrę. Nie sprawiała wrażenia usposobionej wojowniczo, już prędzej zafrasowanej. Uświadomił sobie nagle, jak bardzo jest mu bliska. Cokolwiek się wydarzy, będzie ją miał z pewnością po swojej stronie.

Pokręcił z uporem głową.

— Ten list może pomóc nie tylko mnie. Jeszcze co najmniej pięciu chłopaków z ochotą by się stąd wyrwało, gdyby tylko wiedzieli, że istnieje taka możliwość. A pomyślałaś o przyszłych pokoleniach?

Popatrzyła na niego uważnie.

— Może i masz rację... ale nie to jest prawdziwym powodem. Ty chcesz stanąć przed wszystkimi zebranymi w kościele i udowodnić, że właściciel kopalni nas zwodził.

— Ależ skąd! — zaprotestował Mack, ale po chwili zastanowienia dodał: — Wiesz, może i coś jest w tym, co mówisz... Tyleśmy się już nasłuchali kazań o konieczności przestrzegania prawa i okazywania szacunku naszym pracodawcom. I nagle dowiadujemy się, że cały czas nas okłamywano. Oczywiście, że chcę tam wystąpić i wykrzyczeć im to prosto w oczy.

— Lepiej się nie wychylaj — powiedziała z troską.

— Zrobię to najtaktowniej i najpokorniej, jak potrafię — zapewnił.

— Ty i pokora! — wykrzyknęła. — Chciałabym to widzieć.

— Zamierzam im tylko wytłumaczyć, jakie jest prawo... Cóż w tym złego?

— To nieostrożne.

— Owszem — przyznał. — Ale zrobię to.

Przekroczyli grań i zaczęli zstępować w dolinę Coalpit Glen. W miarę jak schodzili, robiło się coraz cieplej. Po kilku chwilach ich oczom ukazał się niewielki kamienny kościółek, położony nie opodal mostka przerzuconego nad brudną rzeką.

Niedaleko kościelnego dziedzińca przycupnęło skupisko bud zagrodników. Były to okrągłe chatynki z otwartym paleniskiem pośrodku klepiska i z dziurą w dachu, przez którą uchodził dym. Ludzie mieszkali w nich przez całą zimę pospołu z bydłem. Położone nieco dalej, niedaleko szybów, domki górników były już przyzwoitsze: choć i w nich podłogę zastępowało klepisko, a dachy kryte były darnią, każdy miał piec i komin; ponadto górnicy nie byli zmuszeni dzielić swoich siedzib z krowami. Ale zagrodnicy, którzy uważali się za ludzi wolnych i niezależnych, patrzyli na górników z góry.

Jednak to nie chaty wieśniaków przykuły teraz uwagę Macka i Esther i nie na ich widok się zatrzymali. Przed kościołem stał kryty powóz zaprzężony w parę dorodnych siwków. Z pomocą pastora, przytrzymując modne koronkowe kapelusze, wysiadało z niego kilka dam w krynolinach i futrzanych okryciach.

Esther dotknęła ramienia Macka i wskazała na mostek. Na rosłym kasztanie przejeżdżał właśnie przez niego właściciel kopalni, dziedzic doliny, sir George Jamisson.

Jamissona nie oglądano tu od pięciu lat. Mieszkał w Londynie oddalonym stąd o tydzień podróży statkiem lub dwa tygodnie jazdy dyliżansem. Ludzie powiadali, że niegdyś miał w Edynburgu uliczny kram, w którym sprzedawał świece i dżin, ciułając pens do pensa i nie przesadzając z uczciwością. Potem jeden z jego

krewnych zmarł bezpotomnie, pozostawiając mu w spadku zamek oraz kopalnie. Na tym fundamencie George Jamisson zbudował imperium finansowe, które swoim zasięgiem obejmowało tak niewyobrażalnie odległe miejsca jak Barbados czy Wirginia. Był teraz wielce poważaną osobistością: baronetem, sędzią i aldermanem Wapping, odpowiedzialnym za przestrzeganie prawa i porządku na londyńskim wybrzeżu.

Najwyraźniej zjechał teraz z rodziną i gośćmi z wizytą do swej szkockiej posiadłości.

— No i po kłopocie — oświadczyła z ulgą Esther.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Mack, choć już się domyślał.

— Teraz nie będziesz mógł odczytać swojego listu.

— A to niby czemu?

— Malachi McAsh, nie bądź takim przeklętym głupcem! — zawołała. — Nie możesz tego uczynić w obecności samego dziedzica!

— Wręcz przeciwnie — odrzekł z uporem. — Nawet lepiej się składa.

2

Lizzie Hallim nie chciała jechać do kościoła powozem. Uważała to za poroniony pomysł. Trakt wiodący tam z zamku był usiany dziurami i zryty koleinami, których błotniste grzbiety ściął mróz. Powóz będzie się wlókł w ślimaczym tempie, kolebiąc się niemiłosiernie na wykrotach, i dotrą na miejsce przemarznięci i poobijani. Uparła się więc, że pojedzie do kościoła konno.

Tego rodzaju fanaberie doprowadzały do rozpaczy jej matkę.

— Jak ty znajdziesz męża, skoro zachowujesz się jak mężczyzna? — lamentowała lady Hallim.

— Męża mogę mieć na zawołanie — odpowiedziała Lizzie. I w istocie tak było: bez trudu podbijała męskie serca. — Problem w znalezieniu takiego kandydata, z którym udałoby mi się wytrzymać dłużej niż pół godziny.

— Problem w znalezieniu takiego, którego niełatwo zrazić — mruknęła matka.

Dziewczyna roześmiała się. Obie miały rację. Mężczyźni zakochiwali się w Lizzie od pierwszego wejrzenia, kiedy jednak odkrywali, jaka jest, czym prędzej się wycofywali. Jej zachowanie od lat wywoływało zgorszenie w edynburskich sferach towarzyskich. Na swoim pierwszym balu, rozmawiając z trzema statecznymi matronami, napomknęła, że szeryf ma tłusty zadek, co nieodwracalnie zaszargało jej reputację. Poprzedniej wiosny matka zabrała ją

do Londynu i wprowadziła w tamtejsze wyższe sfery. Była to absolutna katastrofa. Lizzie mówiła za głośno, śmiała się za często i drwiła otwarcie z wyszukanych manier i przyciasnych ubrań zalecających się do niej gogusiowatych młodzieńców.

— Wszystko przez to, że wychowywałaś się w domu, w którym nie było mężczyzny — dodała matka. — To sprawiło, że jesteś zbyt niezależna.

Lizzie przeszła przez kamienny dziedziniec Jamisson Castle, zmierzając do znajdujących się od wschodu stajen. Jej ojciec zmarł, kiedy miała trzy lata, toteż prawie go nie pamiętała. Gdy pytała, na co umarł, matka odpowiadała wymijająco: „Na wątrobę". Pozostawił je obie bez grosza. Przez lata matka z trudem wiązała koniec z końcem, obciążając coraz bardziej hipotekę posiadłości Hallimów i czekając z utęsknieniem, aż Lizzie dorośnie i poślubi jakiegoś bogacza, który rozwiąże wszystkie ich problemy. Teraz córka miała dwadzieścia lat i nadeszła pora, by wypełniło się jej przeznaczenie.

Bez wątpienia to właśnie również było powodem, dla którego rodzina Jamissonów po tylu latach ponownie zawitała do swoich szkockich dóbr, i dlatego ich gośćmi honorowymi były Lizzie wraz z matką mieszkające po sąsiedzku zaledwie dziesięć mil od Jamisson Castle. Zaproszono je tu pod pretekstem udziału w przyjęciu z okazji dwudziestych pierwszych urodzin młodszego syna Jamissonów, Jaya; jednak prawdziwym powodem było to, że Jamissonowie upatrywali w Lizzie dobrą partię dla swojego starszego syna, Roberta.

Lady Hallim bardzo się z tego cieszyła, Robert bowiem miał zostać dziedzicem ogromnej fortuny. Sir George także był kontent, gdyż pragnął przyłączyć ziemie Hallimów do rodzinnych dóbr Jamissonów. Robert też chyba nie miał nic przeciw, sądząc po tym, jak wodził oczami za Lizzie, odkąd tylko zjechała z matką do zamku.

Lizzie dostrzegła Roberta stojącego na majdanie przed stajnią i czekającego na osiodłanie konia. Przypominał nieco swoją matkę z portretu wiszącego w zamkowym holu, przedstawiającego kobietę o blond włosach, jasnych oczach i ustach znamionujących stanow-

czość. Nie można mu było właściwie niczego zarzucić — nie był szpetny ani za gruby czy za chudy, nie cuchnęło od niego, nie pił za dużo, nie hołdował też zbytnio modzie. To wymarzona partia, wmawiała sobie Lizzie, i gdyby Robert poprosił ją o rękę, zapewne by się zgodziła. Wprawdzie nie była w nim zakochana, ale zdawała sobie sprawę, jaki ciąży na niej obowiązek.

Postanowiła się z nim trochę podroczyć.

— To doprawdy nieuprzejme z państwa strony, że mieszkacie w Londynie — zagaiła.

— Nieuprzejme? — Robert zmarszczył czoło. — Dlaczego? — zapytał.

— Pozbawia nas to miłych sąsiadów — wyjaśniła, ale on nadal sprawiał wrażenie skonsternowanego. Widać nie grzeszył poczuciem humoru. — Gdy państwa tu nie ma, żywego ducha nie uświadczysz stąd aż po Edynburg — dodała.

— Jeśli nie liczyć setki górniczych rodzin i paru zagrodniczych wsi — rozległ się męski głos za jej plecami.

— Dobrze pan wie, co miałam na myśli — powiedziała, odwracając się. Człowieka, który stał za nią, nie znała. — A tak w ogóle, to kim pan jest? — spytała z właściwą sobie bezpośredniością.

— Jay Jamisson — odparł młody mężczyzna, kłaniając się. — Bardziej rozgarnięty brat Roberta. Jak pani mogła zapomnieć?

Słyszała, że przyjechał poprzedniej nocy, ale go nie poznała. Pięć lat temu był kilka cali niższy, miał całe czoło w pryszczach, a z podbródka wyrastało mu parę miękkich, jasnych włosków. Teraz zdecydowanie wyprzystojniał. Dawniej jednak nie błyszczał inteligencją i wątpiła, żeby pod tym względem coś się zmieniło na lepsze.

— Poznaję pana po zarozumiałości — powiedziała.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Szczerze boleję, że jeśli chodzi o pokorę i skromność, nie mogę się z panią równać, panno Hallim.

— Jak się masz, Jay. Witaj w Jamisson Castle — odezwał się Robert.

Jay nagle spochmurniał.

— Odrzuć ten protekcjonalny ton, Robercie. Wprawdzie jesteś moim starszym bratem, ale nie odziedziczyłeś jeszcze tego zamku.

— Gratulacje z okazji dwudziestych pierwszych urodzin — wtrąciła Lizzie, by rozładować zgęstniałą nagle atmosferę.

— Dziękuję.

— Czy to właśnie dziś?

— Tak.

— Wybierasz się z nami do kościoła? — spytał niecierpliwie Robert.

Lizzie dostrzegła w oczach Jaya nienawiść, ale jego głos wyprany był z emocji.

— Owszem, kazałem już osiodłać sobie konia.

— Więc ruszajmy. — Robert odwrócił się w stronę stajni i krzyknął: — Szybciej tam!

— Wszystko gotowe, paniczu — dobiegł ze środka głos stajennego i w chwilę później wyprowadzono trzy konie: krzepkiego czarnego kucyka, gniadą klacz i siwego wałacha.

— Podejrzewam, że wypożyczono te zwierzęta specjalnie na tę okazję od jakiegoś edynburskiego handlarza koni — zauważył uszczypliwie Jay, ale zbliżył się do wałacha, poklepał go po szyi i pozwolił mu musnąć nozdrzami swoją błękitną kurtkę.

Lizzie dosiadła po damsku czarnego kucyka i puściła się kłusem przez majdan ku bramie. Bracia ruszyli jej śladem — Robert na klaczy, Jay na wałachu. Deszcz ze śniegiem ciął Lizzie po oczach. Śnieg zalegający na ziemi uczynił drogę zdradliwą, bo maskował głębokie wykroty i konie co chwila się potykały.

— Jedźmy przez las — zaproponowała Lizzie. — Drzewa osłonią nas przed deszczem, a i teren tam równiejszy. — Nie czekając na odpowiedź, zboczyła z traktu, kierując się w stronę starego boru.

Leśne podłoże pośród smukłych sosen pozbawione było zupełnie zarośli. Potoczki i rozrzucone tu i ówdzie bagienka ścinał lód, ziemia zaś przyprószona była bielą. Lizzie puściła swojego kucyka cwałem. Po chwili wyprzedził ją szary koń Jaya. Podniosła wzrok

i przed oczami mignęła jej na moment uśmiechnięta prowokacyjnie twarz młodszego Jamissona: chciał się z nią ścigać. Wydała bojowy okrzyk i uderzyła piętami kucyka, który wyrwał ochoczo do przodu.

Mknęli między drzewami, prześlizgując się z pochylonymi głowami pod zwieszonymi nisko konarami drzew, przesadzając zwalone pnie i przecinając pośród rozbryzgów wody strumyki. Koń Jaya był większy i szybszy w galopie, ale kucyk, dzięki krótkim nóżkom i lekkiej budowie, lepiej radził sobie w tym terenie, toteż Lizzie wkrótce wysforowała się do przodu. Gdy tętent konia Jaya ucichł w oddali, zwolniła i wypadłszy na najbliższą polankę, zatrzymała swojego wierzchowca.

Jay wkrótce ją dogonił, ale Roberta nie było ani śladu. Lizzie pomyślała sobie, że widocznie miał dość rozsądku, by nie narażać się na szwank w tej bezsensownej gonitwie. Ruszyli dalej stępa pierś w pierś, z trudem łapiąc oddech. Ciepło bijące od koni ogrzewało jeźdźców.

— Pościgałbym się na prostej — wysapał Jay.

— Jadąc po męsku, nie dałabym panu szans — odparła.

Mina Jaya zdradzała pewne zgorszenie. Wszystkie dobrze urodzone kobiety jeździły konno po damsku. Dosiadanie przez kobietę konia okrakiem traktowano jako przejaw prostactwa. Lizzie uważała to za głupi przesąd i kiedy była sama, dosiadała konia po męsku.

Przyglądała się spod oka Jayowi. Jego matka, Alicia, druga żona sir George'a, była niebieskooką, pełną wdzięku blondynką i Jay odziedziczył po niej błękitne oczy oraz ujmujący uśmiech.

— Czym zajmuje się pan w Londynie? — spytała.

— Służę w Trzecim Regimencie Gwardii Pieszej — odparł z dumą w głosie. — Awansowałem właśnie na kapitana — dodał.

— No i cóż wy, waleczni żołnierze, macie tam do roboty, kapitanie Jamisson? — spytała ironicznym tonem. — Czy w Londynie toczy się teraz jakaś wojna? Macie jakichś nieprzyjaciół do wybicia?

— Jest mnóstwo roboty z utrzymywaniem w ryzach motłochu.

Lizzie stanął nagle przed oczami mały Jay — wredny, wyży-

wający się na słabszych dzieciak — i przemknęło jej przez myśl, że ten obecny Jay, dojrzały już mężczyzna, chyba lubi swoje aktualne zajęcie.

— A jak to robicie? — spytała.

— Na przykład eskortujemy przestępców na szubienicę, żeby przypadkiem kamraci ich nie odbili, zanim kat zdąży zrobić swoje.

— Zatem, jak przystało na prawdziwego szkockiego bohatera, wypełnia pan swój czas uśmiercaniem Anglików?

Jednak Jay wcale nie poczuł się urażony.

— Chciałbym kiedyś wystąpić z wojska i wyjechać za granicę — powiedział.

— O... A to czemu?

— W tym kraju młodszy syn nic nie znaczy — stwierdził. — Nawet służba dwa razy pomyśli, zanim wykona wydane przeze mnie polecenie.

— I wierzy pan, że gdzie indziej będzie inaczej?

— W koloniach jest inaczej pod każdym względem. Wiem to z książek. Ludzie mają tam więcej wolności i są bardziej bezpośredni. Człowieka oceniają po jego czynach.

— I co by pan tam robił?

— Moja rodzina ma plantację trzciny cukrowej na Barbadosie. Mam nadzieję, że ojciec podaruje mi ją na dwudzieste pierwsze urodziny.

Lizzie poczuła ukłucie zazdrości.

— Szczęściarz z pana — powiedziała. — Niczego tak nie pragnę, jak pojechać do jakiegoś nowego kraju. To musi być ekscytujące.

— Życie tam jest surowe — powiedział Jay. — Mogłoby pani brakować wygód, jakie ma pani tutaj: sklepów, oper, francuskiej mody i tym podobnych rzeczy.

— Nie dbam o to wszystko — oświadczyła. — Nie znoszę tych strojów. — Miała na sobie krynolinę i była ściśnięta gorsetem. — Chciałabym się ubierać po męsku, w bryczesy, koszulę i buty do konnej jazdy.

Jay roześmiał się.

— To już chyba lekka przesada, nawet jak na Barbados — zauważył.

Gdyby tak Robert obiecał, że zabierze mnie na Barbados, pomyślała Lizzie, wyszłabym za niego bez chwili wahania.

— We wszystkim wyręczają tam człowieka niewolnicy — dodał Jay.

Wyłonili się spomiędzy drzew kilka jardów od mostka. Do kościoła po drugiej stronie rzeczki wchodzili już górnicy.

Lizzie wciąż myślała o Barbadosie.

— To musi być bardzo dziwne uczucie... mieć niewolników i móc z nimi robić, co się człowiekowi żywnie spodoba, jak ze zwierzętami — rozważała na głos. — Nie robi się panu na tę myśl jakoś nieswojo?

— Ani trochę — odparł z uśmiechem Jay.

3

Mały kościółek pękał w szwach. Najwięcej miejsca zajmowała w nim rodzina Jamissonów oraz towarzyszący im goście — kobiety w szerokich spódnicach i mężczyźni w trójgraniastych kapeluszach, z rapierami u pasa. Górnicy i zagrodnicy stłoczyli się w pewnej odległości od dostojnych przybyszów, jakby w obawie, że mogą przypadkiem otrzeć się o ich piękne stroje i powalać je pyłem węglowym lub krowim łajnem.

Mack, jeszcze niedawno tak buńczucznie wykładający swoje racje Esther, teraz przeżywał rozterkę. Właściciele kopalni mieli prawo stosować wobec krnąbrnych górników karę chłosty, a co gorsza sir George Jamisson był sędzią i w jego gestii leżało wydawanie wyroków śmierci, których nikt nie miał prawa zakwestionować. Nieroztropnie byłoby ściągnąć na siebie gniew takiego człowieka.

Ale prawo było prawem. Z Mackiem i pozostałymi górnikami postępowano niesprawiedliwie i ilekroć Mack o tym pomyślał, ogarniała go taka wściekłość, że miał ochotę publicznie wykrzyczeć swoje żale. Potajemne rozpuszczanie posiadanych informacji mijało się z celem, bo stawiało pod znakiem zapytania ich rzetelność. Musiał wystąpić wobec wszystkich albo dać sobie z tym spokój.

Ale po co siać ferment? — zastanawiał się. Pastor zaintonował hymn, górnicy podchwycili go i w kościółku rozbrzmiał chór ich

głosów. Zza pleców Macka dobiegał dźwięczny tenor Jimmy'ego Lee, pierwszego śpiewaka w całej wiosce. Śpiew górników przypomniał Mackowi dolinę High Glen i marzenia o wolności. Zdecydował się zrealizować swój pierwotny zamiar.

Pastor, wielebny John York, był czterdziestolatkiem łagodnego usposobienia z przerzedzającymi się włosami. Przemawiał niepewnym głosem, speszony obecnością tak znamienitych osób. Tematem jego kazania była prawda. Jak zareaguje, kiedy Mack odczyta swój list? Pewnie weźmie stronę właściciela kopalni. Prawdopodobnie wybiera się po mszy na obiad do zamku. Ale był przecież duchownym: czyż nie zobowiązywało go to do opowiedzenia się za sprawiedliwością, bez oglądania się na to, co powie sir George?

Kamienne ściany kościółka były nagie. Nie był oczywiście ogrzewany i Mackowi przy każdym oddechu buchała para z ust. Przyjrzał się ludziom z zamku. Rozpoznawał prawie wszystkich członków rodziny Jamissonów. Kiedy był jeszcze dzieckiem, Jamissonowie spędzali w swoich tutejszych włościach większość czasu. Sir George'a z jego czerwoną gębą i wielkim brzuszyskiem trudno było z kimś pomylić. Obok siedziała jego żona, ubrana w plisowaną różową suknię, która prezentowałaby się być może atrakcyjnie na młodszej kobiecie. Robert, starszy syn, ponurak o oczach bez wyrazu, dopiero dwudziestosześcioletni, ale z figury już upodabniający się do tatusia, siedział obok, a przy nim przystojny jasnowłosy młodzieniec w wieku Macka: to na pewno Jay, młodsza latorośl Jamissonów. Kiedy Mack miał sześć lat, przez całe lato bawili się z Jayem w lasach otaczających Jamisson Castle i obaj myśleli, że zostaną dozgonnymi przyjaciółmi, ale zimą tego samego roku Mack zaczął pracować w kopalni i na zabawę nie miał już czasu.

Rozpoznawał też niektórych gości Jamissonów. Twarze lady Hallim i jej córki były mu znajome. Lizzie Hallim już od dłuższego czasu była bohaterką skandali i plotek, od których huczała cała dolina. Ludzie opowiadali, że włóczyła się po okolicy w męskim stroju, ze strzelbą na ramieniu. Potrafiła oddać buty bosemu dziecku, a następnie zbesztać jego matkę za nieporządek w obejściu.

Mack nie widział jej parę ładnych lat. Hallimowie mieli swój własny kościółek, a na niedzielne msze przyjeżdżali tylko wtedy, kiedy Jamissonowie bawili w swej rezydencji. Mackowi przypomniało się, że po raz ostatni widział Lizzie, kiedy miała około piętnastu lat. Była wówczas ubrana jak panienka z dobrego domu, ale celnością rzutu kamieniem do wiewiórki dorównywała wiejskim urwisom.

Matka Macka była kiedyś pokojówką w High Glen House — dworku Hallimów — i po wyjściu za mąż nieraz jeszcze wpadała tam w niedzielne popołudnia, by odwiedzić starych znajomych i pochwalić się bliźniakami. Podczas tych wizyt Mack i Esther bawili się czasem z Lizzie — zapewne bez wiedzy lady Hallim. Mack wyniósł z tych zabaw wspomnienie Lizzie jako małej kokietki, apodyktycznej, samolubnej i rozpieszczonej. Raz ją pocałował, ale ona tak go wtedy wytargała za włosy, że się rozpłakał. Sądząc z jej obecnego wyglądu, niewiele się od tamtego czasu zmieniła. Miała małą, szelmowską twarzyczkę, kręcone czarne włosy i ciemne oczy, z których wyzierała przekora, a jej usta układały się w różowy łuk. Chciałbym ją teraz pocałować, przemknęło przez myśl Mackowi, gdy na nią patrzył, i w tej samej chwili ich spojrzenia zderzyły się. Zmieszany, odwrócił wzrok, jakby obawiał się, że Lizzie może odczytać jego myśli.

Kazanie dobiegło końca. Później, po mszy, miały się jeszcze odbyć chrzciny: kuzynka Macka, Jen, powiła czwarte dziecko. Jej pierworodny, Wullie, pracował już na dole w kopalni. Mack umyślił sobie wcześniej, że ceremonia chrzcin będzie najlepszą okazją do jego wystąpienia. Wraz ze zbliżaniem się wyczekiwanego momentu czuł narastający ucisk w żołądku, ale po chwili wziął się w garść i ofuknął w duchu za głupotę: wszak co dzień narażał życie w sztolni — czemuż miałby się obawiać konfrontacji z jakimś opasłym kupcem?

Stojąca przy chrzcielnicy Jen sprawiała wrażenie kobiety zmęczonej życiem. Skończyła dopiero trzydzieści lat, jednak po wydaniu na świat czwórki dzieci i przepracowaniu dwudziestu trzech lat w kopalni była wrakiem człowieka. Ojciec York pokropił

święconą wodą główkę niemowlęcia, a potem mąż Jen, Saul, wyrecytował formułkę, która czyniła niewolnikiem każdego syna szkockiego górnika:

— Ślubuję, że to dziecko pracować będzie w kopalniach sir George'a Jamissona jako chłopiec i jako mężczyzna dopóty, dopóki stanie mu sił, aż do samej śmierci.

Właśnie ten moment obrał sobie Mack.

Podniósł się.

Gdyby ceremonia przebiegała wedle utartego schematu, Harry Ratchett, nadzorca, powinien teraz podejść do chrzcielnicy i wręczyć Saulowi „arles", czyli tradycyjną zapłatę za przyobiecanie dziecka właścicielowi kopalni — trzosik z dziesięcioma funtami. Jednak, ku konsternacji Macka, zamiast niego z ławki podźwignął się sir George, by dopełnić tej formalności.

Kiedy wstał, przechwycił spojrzenie Macka. Przez krótką chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem sir George ruszył w stronę chrzcielnicy.

Mack przecisnął się do przejścia między ławkami i stanąwszy na środku kościółka, powiedział głośno:

— Zapłacenie arlesu o niczym nie przesądza.

Sir George zatrzymał się jak wryty, a oczy wszystkich obecnych obróciły się na Macka. W kościółku zaległa cisza. Mack słyszał łomot własnego serca.

— Ta ceremonia nie ma żadnej mocy prawnej — podjął. — Tego chłopca nie można przyobiecać kopalni. Żadnego dziecka nie wolno czynić niewolnikiem.

— Siadaj, durniu, i zamknij gębę! — warknął sir George.

Pogardliwy ton jego głosu wzburzył Macka tak bardzo, że znikły ostatecznie wszystkie nurtujące go jeszcze wątpliwości.

— Nie, to pan usiądzie — odciął się natychmiast i wszyscy westchnęli ze zgrozą, wstrząśnięci jego zuchwałością. Mack wycelował palec w ojca Yorka. — Mówiliście w swym kazaniu o prawdzie, pastorze... więc czy opowiecie się teraz za prawdą?

Duchowny spojrzał z przestrachem na Macka.

— O co ci chodzi, McAsh?

— O niewolnictwo!

— Przecież znasz szkockie prawo — powiedział pojednawczo ojciec York. — Górnicy stanowią własność właściciela kopalni. Kto przepracuje w niej jeden rok i jeden dzień po uzyskaniu pełnoletności, traci wolność.

— Owszem — przytaknął Mack. — To nikczemne, ale rzeczywiście istnieje takie prawo. Uważam jednak, że prawo to nie dotyczy dzieci, i mam na to dowody.

— Ale nam potrzebne pieniądze, Mack! — zaprotestował Saul.

— Weźcie je — odparł Mack. — Wasz chłopiec będzie pracował dla sir George'a do dwudziestego pierwszego roku życia, a to warte dziesięciu funtów. Kiedy jednak... — podniósł głos — kiedy jednak ukończy dwadzieścia jeden lat, będzie wolny!

— Radzę ci, powściągnij język — powiedział sir George z pogróżką w głosie. — To niebezpieczne gadanie.

— Ale to prawda — obstawał przy swoim Mack.

Sir George spurpurowiał; nigdy nie napotkał tak zdecydowanego oporu.

— Policzę się z tobą po mszy — parsknął gniewnie. Wręczył trzosik Saulowi, po czym zwrócił się do pastora: — Proszę kontynuować, ojcze York.

Mack poczuł się zbity z tropu. Chyba nie przejdą nad tym do porządku dziennego?

— Zaśpiewajmy na koniec — zwrócił się pastor do wiernych.

Sir George zajął z powrotem swoje miejsce. Mack stał jak zahipnotyzowany na środku przejścia i nie mógł uwierzyć, że już po wszystkim.

— Psalm drugi: Dlaczego narody się buntują, czemu ludy knują daremne zamysły? — zabrzmiał głos pastora.

— Nie, nie... chwileczkę — odezwał się ktoś z tylnych rzędów.

Mack obejrzał się. Był to Jimmy Lee, młody górnik o pięknym, dźwięcznym głosie. Raz już usiłował zbiec i od tamtej pory nosił za karę na szyi żelazną obręcz z napisem: „Człowiek ten jest własnością sir George'a Jamissona z Fife". Dzięki Ci, Boże, żeś mi zesłał Jimmy'ego, uradował się w duchu Mack.

— Nie można tego tak zostawić — ciągnął Jimmy. — Za tydzień kończę dwudziesty pierwszy rok. Jeśli mam odzyskać wolność, to chciałbym się o tym dowiedzieć.

— Wszyscy byśmy chcieli — podchwyciła matka Jimmy'ego, Ma Lee, bezzębna, zasuszona staruszka. W wiosce otaczano ją wielkim szacunkiem i zawsze liczono się z jej zdaniem. Rozległy się potakujące pomruki jeszcze kilku mężczyzn i kobiet.

— Nie należy ci się wolność — zagrzmiał chrapliwy głos sir George'a, który znów poderwał się z miejsca.

Esther pociągnęła Macka za rękaw.

— List! — syknęła niecierpliwie. — Przeczytaj im list!

Mack z przejęcia niemal o nim zapomniał.

— Prawo stanowi inaczej, sir George! — krzyknął, wymachując listem.

— Co to za pismo, McAsh? — zainteresował się ojciec York.

— List od londyńskiego prawnika, którego poprosiłem o poradę.

Sir George wyglądał, jakby miał dostać ataku apopleksji. Mackowi przemknęło przez myśl, że gdyby nie kilka rzędów ławek, które ich przedzielały, dziedzic ucapiłby go chyba za gardło.

— Zwróciłeś się o poradę do prawnika? — wycedził.

— Co jest w tym liście? — spytał ojciec York.

— Zaraz się dowiecie — odparł Mack i zaczął czytać: — „W świetle zarówno angielskiego, jak i szkockiego ustawodawstwa ceremonia arlesu nie pociąga za sobą żadnych skutków prawnych. Rodzice nie mogą sprzedawać czegoś, co nie jest ich własnością, a mianowicie wolności dorosłego człowieka. Wolno im przymusić swoje dziecko do pracy w kopalni aż do dwudziestego pierwszego roku życia, ale potem... — Mack zrobił dramatyczną przerwę i doczytał koniec zdania: — ...ale potem może ono odejść wolno!".

Rozpętała się wrzawa: jedni mówili, inni krzyczeli, wyrażając swój entuzjazm lub sceptycyzm. Co najmniej połowę spośród mężczyzn obecnych w kościele przyobiecano od kołyski do niewolniczej pracy, i od dziecka uważali się za niewolników. Teraz mówiono im, że zostali oszukani, pragnęli więc się dowiedzieć, jak to jest naprawdę.

Mack podniósł rękę, by uspokoić zebranych, i wszyscy ucichli.

— Dajcie mi przeczytać jeszcze jeden ustęp — powiedział. — „Każdego człowieka, po osiągnięciu przezeń wieku dojrzałego, zaczyna obejmować prawo obowiązujące wszystkich mieszkańców Szkocji: jeśli będąc już dorosłym, przepracuje jeden rok i jeden dzień, traci wolność".

Rozległy się pomruki wzburzenia. Słuchacze uświadomili sobie, że większość z nich nadal ma tak samo nikłe widoki na wolność, jak do tej pory. Możliwość wyzwolenia zyskiwali jednak ich synowie.

— Pokaż mi ten list, McAsh — poprosił ojciec York.

Mack podszedł do ambony i wręczył pismo pastorowi.

— Kim jest ten prawnik? — spytał sir George, wciąż kipiąc wściekłością.

— Nazywa się Caspar Gordonson — odparł Mack.

— Ach tak, słyszałem o nim — powiedział York.

— Ja również — prychnął pogardliwie sir George. — To skrajny radykał! Zausznik Johna Wilkesa. — Nazwisko Wilkesa znał każdy: był to lider liberałów, który przebywał na wygnaniu w Paryżu i odgrażał się bez przerwy, że powróci, by zachwiać rządem. — Gordonson będzie za to wisiał, już moja w tym głowa. Ten list to zdrada.

Wzmianka o wieszaniu wstrząsnęła pastorem.

— Sądzę, że określenie „zdrada" nie jest tu...

— Ty się lepiej zajmuj Królestwem Niebieskim — wpadł mu w słowo sir George. — A decyzję, co nazywać zdradą, pozostaw ludziom z tego świata — warknął i wyrwał list z dłoni Yorka.

Parafian zaszokowała ta brutalna reprymenda udzielona pastorowi. Ucichli, czekając na jego reakcję. York wytrzymał spojrzenie Jamissona i Mack był już przekonany, że pastor nie da się zastraszyć dziedzicowi, po chwili jednak York spuścił oczy i usiadł, jakby uznał sprawę za zamkniętą.

Tchórzostwo Yorka oburzyło Macka. Kościół miał być przecież autorytetem moralnym. Pastor, który ulegał dziedzicowi, nie był im potrzebny. Mack obrzucił duchownego spojrzeniem pełnym nieskrywanej wzgardy i spytał z drwiną w głosie:

— Więc jak to w końcu jest: mamy przestrzegać prawa czy nie?

Wtedy podniósł się Robert Jamisson, nie mniej wzburzony niż jego ojciec.

— Będziesz przestrzegał prawa, a jakie ono jest, dowiesz się od swojego dziedzica — powiedział.

— To tak, jakby w ogóle nie było prawa — odparował Mack.

— W twojej sytuacji to bez znaczenia — oświadczył Robert. — Jesteś górnikiem. Co ty wiesz o prawie? A co się tyczy pisania do prawników... — Wziął od ojca list. — Oto, co myślę o twoim prawniku — dodał i przedarł list na pół.

Górnicy stęknęli ze zgrozą. Na tych stronicach była zapisana ich przyszłość, a panicz Jamisson bezceremonialnie porwał je na kawałki.

Robert przedarł list jeszcze parę razy i cisnął skrawki papieru w powietrze. Zawirowały niczym ślubne konfetti nad głowami Saula i Jen.

Macka ścisnął za serce żal. Ten list był jego największym skarbem. Umyślił już sobie, że pokaże go każdemu mieszkańcowi wioski. Snuł nawet plany, że obniesie go po innych kopalniach, innych wioskach, aż jego treść pozna cała Szkocja. A Robert zniszczył go w jednej chwili.

Triumfująca mina młodego Jamissona świadczyła, że wyczytał tę rozpacz z jego twarzy. Macka ogarnęła wściekłość. Nie da się w ten sposób załatwić. List przepadł, ale prawo pozostało niezmienione.

— Widzę, że ten list wystraszył was tak bardzo, że postanowiliście go zniszczyć — powiedział, stwierdzając jednocześnie z zaskoczeniem, że do jego głosu wkradła się nuta szyderstwa. — Ale nie możecie podeptać praw, jakie rządzą tym krajem. Papieru, na którym je spisano, nie da się tak łatwo podrzeć.

Roberta zatkało z wrażenia. Nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć na tak zuchwałą ripostę. Po chwili wahania warknął groźnie:

— Precz stąd!

Mack spojrzał na ojca Yorka; Jamissonowie uczynili to samo.

Nikt ze świeckich nie miał prawa wypraszać wiernego ze świątyni. Czy pastor ugnie się i pozwoli, by syn dziedzica wyrzucił z kościoła jedną z jego owieczek?

— Jesteśmy w domu bożym czy w gościnie u George'a Jamissona? — zwrócił się Mack do pastora.

Była to ogniowa próba, której ojciec York nie potrafił sprostać. Jego twarz oblał rumieniec wstydu.

— Lepiej wyjdź, McAsh — bąknął zmieszany.

Mack nie mógł powstrzymać cisnącego mu się na usta komentarza, choć wiedział, że wypowiadając go, postępuje nieroztropnie:

— Dziękuję za kazanie o prawdzie, pastorze. Nigdy go nie zapomnę.

Odwrócił się i wziął pod ramię Esther. Kiedy ruszyli przejściem między ławkami, dołączył do nich Jimmy Lee. Z ławek podnosiły się pojedyncze osoby, a gdy uczyniła to również Ma Lee, nastąpił gremialny exodus. Górnicy wraz z rodzinami powstawali z miejsc i przy akompaniamencie głośnego szurania butów i szelestu kobiecych sukien kierowali się ku wyjściu. Mack ujrzał, że wraz z nim kościół opuszczają wszyscy uczestniczący we mszy górnicy, i ogarnęło go poczucie wspólnoty i triumfu tak silne, że do oczu napłynęły mu łzy.

Na dziedzińcu przed kościołem górnicy obstąpili go ciasnym kręgiem. Wiatr już zelżał, ale sypał śnieg osiadający wielkimi płatkami na kamiennych nagrobkach.

— Źle, że podarli list — powiedział gniewnie Jimmy.

Kilku górników przytaknęło.

— Napiszemy znowu — zaproponował jeden z nich.

— Drugi raz nie uda nam się tak łatwo wysłać listu — powiedział Mack. Ale nie to zaprzątało mu teraz myśli. Czuł zmęczenie i radość, jakby dopiero co wbiegł zboczem High Glen na sam szczyt.

— Prawo jest prawem! — zawołał któryś z górników.

— Ale dziedzic jest dziedzicem — zauważył ktoś ostrożniejszy.

Doszedłszy trochę do siebie, Mack zaczął się zastanawiać, czego właściwie dokonał. Niewątpliwie poruszył wszystkich, ale sam ten fakt jeszcze niczego nie zmieniał. Jamissonowie dali jasno

do zrozumienia, że nic sobie nie robią z obowiązującego prawa. Jeśli zaś będą obstawać przy swoim — cóż pozostanie górnikom? Czy walka o sprawiedliwość ma jakikolwiek sens? Czyż nie lepiej byłoby dla niego ułożyć się z dziedzicem i żyć nadzieją, że pewnego dnia otrzyma po Harrym Ratchetcie posadę nadzorcy?

Nagle z kruchty wypadła jakaś postać w czerni. Była to Lizzie Hallim. Nie rozglądając się, ruszyła prosto na Macka. Górnicy rozstąpili się na boki.

Mack nie mógł oderwać od niej wzroku. Zawsze była ładna, ale teraz, z policzkami okraszonymi rumieńcem gniewu, wydała mu się prześliczna. Jej czarne oczy ciskały błyskawice.

— Za kogo ty się masz?! — zawołała gniewnie.

— Jestem Malachi McAsh...

— Wiem, jak się nazywasz — wpadła mu w słowo. — Jak śmiesz odzywać się w taki sposób do dziedzica i jego syna?

— A jak oni śmią nas zniewalać, skoro prawo tego zabrania?

Górnicy poparli go zgodnym pomrukiem.

Lizzie przesunęła rozpłomienionym wzrokiem po ich twarzach. Na kołnierzu jej płaszcza skrzyły się płatki śniegu. Kiedy jeden wylądował jej na nosie, strzepnęła go energicznym machnięciem ręki.

— Nawet nie wiecie, jakimi jesteście szczęściarzami, mając płatną pracę — powiedziała. — Powinniście być wdzięczni sir George'owi, że prowadzi te kopalnie i zapewnia waszym rodzinom byt.

— Jeśli tacy z nas szczęściarze, to po co te wszystkie zakazy zabraniające nam opuszczania wioski i szukania innej pracy? — spytał Mack.

— Bo jesteście za głupi, żeby pojąć, jak wam dobrze!

Mack uświadomił sobie, że ta polemika zaczyna go wciągać, i to nie tylko dlatego, że prowadząc ją, mógł patrzeć na piękną kobietę. Miał do czynienia z adwersarzem o wiele subtelniejszym od sir George'a i Roberta.

— Panno Hallim, czy była pani kiedykolwiek w kopalni na dole? — zapytał, zniżając głos.